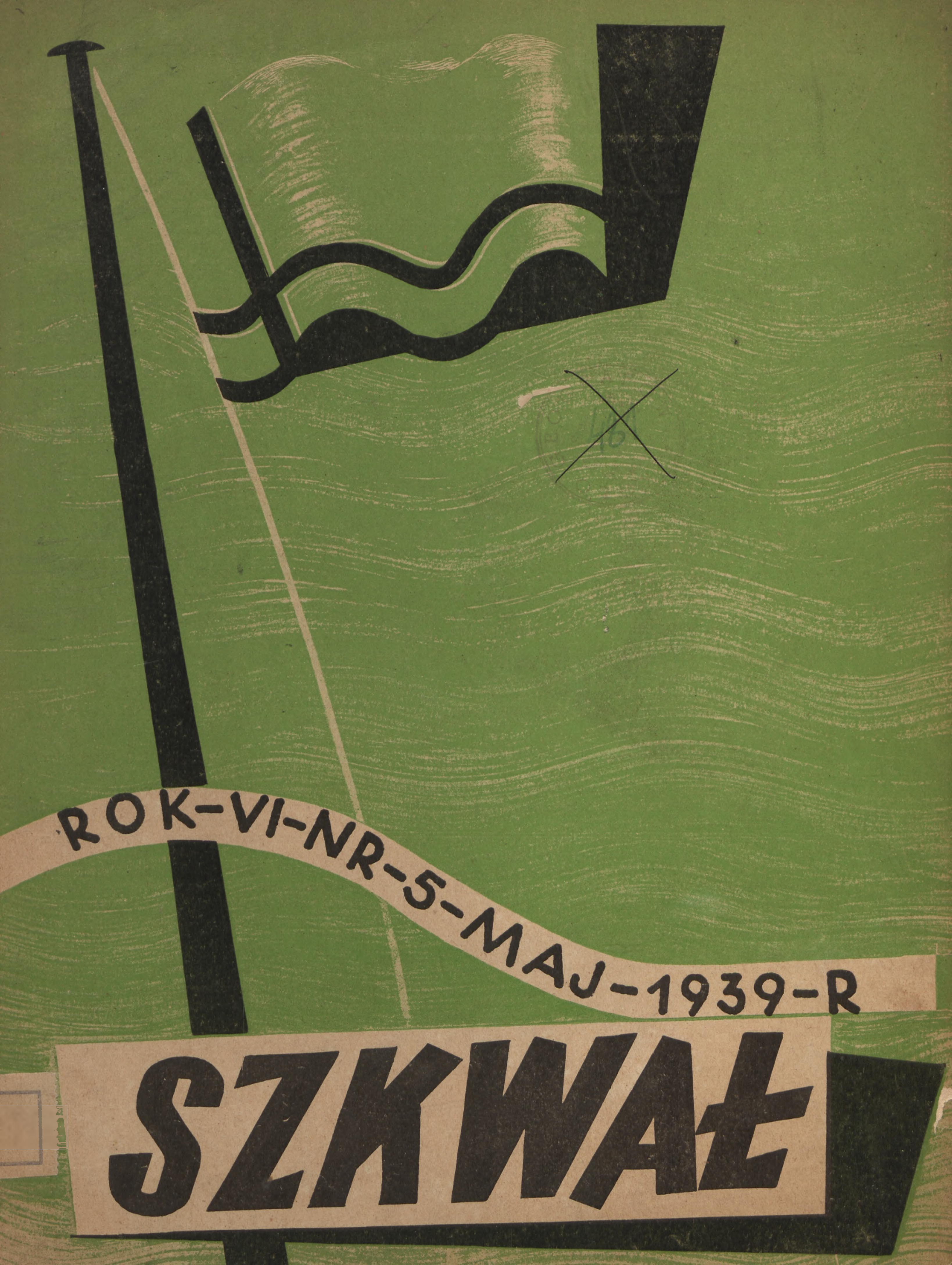

ROK-VI-NR-5-MAJ-1939-R
SZKWAŁ

W szkłach peryskopu

GDYNIA — GDAŃSK, PRZYSZŁY JEDEN GIGANTYCZNY PORT.

Jaka powinna być jedyna prosta konsekwencja dalszego rozrostu Gdyni i wzrastania obrotu naszych portów? Na to pytanie dał odpowiedź, prezes Instytutu Bałtyckiego profesor uniwersytetu Poznańskiego dr Stanisław Pawłowski w swym przemówieniu, otwierającym we Lwowie dwudniowy zjazd naukowy, zorganizowany przez Instytut Bałtycki, a poświęcony zagadnieniom Gdyni i Gdańska.

„Obrót naszych portów ustawicznie wzrasta. — wywodził prof. Pawłowski. — Zachodzi pytanie, co będzie, jeśli obrót ten przekroczy dla obu naszych portów Gdyni i Gdańska 20 milionów tonn? Pozwolę sobie przedstawić moją fantazję. Odległość Gdyni od Gdańska wynosi niewiele ponad 18 km lądem. Przestrzeń tą zapełni się po osiągnięciu stabilizacji obrotów portowych na wysokości 20 milionów tonn przystaniami, magazynami, ośrodkami handla i przemysłu i stworzy wówczas jeden wielki port Gdańsk — Gdynia.

Oczami wyobraźni widzimy już przyszłe wielkie portowe miasto polskie, milionowe miasto od Pucka do Nogatu i Leniwki, którego stary Gdańsk jest tylko dzielnicą, podobnie jak np. Buda jest dzielnicą Buda-Pesztu.

PRZEZNACZENIE GDAŃSKA.

Ów zjazd Instytutu Bałtyckiego stał się prawdziwą manifestacją polskiego świata naukowego w sprawie naszego wybrzeża. M. i. zabierali głos: wojewoda Biłyk, prezes Ostrowski, profesor Haydel i inni.

Imieniem Ligi Morskiej i Kolonialnej przemawiał wiceminister Kożuchowski. Podkreślając, że C.O.P., Gdynia — to wysiłki by wychowankowie naszych uniwersytetów i politechnik znaleźli swe miejsce w Polsce budującej — uzasadniał, że dla naszej rozwijającej się dynamiki gospodarczej potrzebne są na Bałtyku oba porty: Gdynia i Gdańsk, z których jeden jest dopełnieniem drugiego.

Podobnie prof. Lipiński podniósł, że należy niszczyć wszelkie przeszkody oddzielające Gdańsk od Polski, że na wybrzeżu Gdynia — Gdańsk musi powstać wielki ośrodek przemysłu i że Gdańsk nie może być okręgiem obcym, wyłączonym z organizmu gospodarczego Polski.

PROGRAM REGATOWY JACHTÓW PEŁNOMORSKICH NA 1939 r.

Specjalna komisja mieszana z ramienia Jacht Klubu Polski i Oficerskiego Yacht Klubu w Gdyni, opracowała bogaty program imprez sportowych na bieżący sezon.

Program przewiduje na inaugurację sezonu w dniu 14 maja pierwsze regaty zatokowe wewnętrzne dla jachtów obu klubów na Zatoce Gdańskiej. Następne regaty na szlaku Gdynia — Władysławowo odbędzie się 28 maja, dla jachtów 6-metrowych i startowych o nagrodę wędrowną związku koncernów węglowych w Gdańsku.

Trzecie regaty zatokowe wewnętrzne dla uczestników zawodów „Round - Gotland" odbędą się w dniu 18 czerwca, a 1 lipca nastąpi start do regat dojazdowych Gdynia — Visby z udziałem jachtów gdańskich.

Poza tym program obejmuje:

7 lipca start do regat międzynarodowych „Round Gotland";

16 powrót do Gdyni jachtów biorących udział w regatach „Round Gotland";

27 lipca do 1 sierpnia imprezy żeglarskie pod nazwą „Tydzień Sopocki";

13 sierpnia inauguracyjne regaty kąpieliskowe w Orłowie Morskim;

20 sierpnia regaty zatokowe juniorów i wreszcie

27 sierpnia na zamknięcie sezonu, regaty zatokowe.

Oprócz tego odbędą się liczne wyprawy sportowe jachtów indywidualnych z pełnymi obsadami, podobnie jak w latach ubiegłych. (g).

Z RADY NACZELNEJ AZM.

W dniach 29 i 30 kwietnia obradowała w Warszawie Rada Naczelna Akademickiego Związku Morsko - Kolonialnego R. P. przy udziale delegatów Związku z Gdańska, Poznania, Wilna, Lwowa, Krakowa i Warszawy oraz przedstawiciela Zarządu Głównego LMK p. profesora dra Stanisława Sumińskiego i p. dyrektora Stefana Szwedowskiego. Rada przyjęła sprawozdanie za okres od listopada ub. r. (poprzednia R. N., do kwietnia rb), złożone przez prezesa Zarządu AZM i ze szczególnym zadowoleniem zaznajomiła się z przebiegiem konferencyj odbytych w kwietniu u Pana Inspektora Armii, gen Kazimierza Sosnkowskiego.

Ponieważ Ośrodek Żeglarstwa Morskiego w Jastarni jest niezbędny dla celów własnych Państwowego Urzędu PW i WF, Protektor Ligi zdecydował budowę ośrodka morskiego AZM. Kredyty przyznane na ten cel w roku bieżącym wynoszą 30.000 zł.

Rada Naczelna powzięła uchwałę subskrybowania przez Związek Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej w wysokości zł. 500, oraz przekazania zakupionych obligacji na Fundusz Obrony Morskiej — ścigacz „Akademik".

ZJAZD POMORZOZNAWCZY WE LWOWIE.

We Lwowie obradował V Zjazd Instytutu Bałtyckiego Zjazd tegoroczny poświęcony był zagadnieniom wybrzeża ze szczególnym uwzględnieniem Gdyni i Gdańska. Wśród referatów i przemówień wygłoszonych na Zjeździe zasługuje na szczególną uwagę referat prof. dr. Stanisława Pawłowskiego, który, gorąco oklaskiwany przez zebranych podkreślił nierozerwalne związki łączące Gdańsk z Rzeczypospolitą i rozwinął piękną wizję niedalekiej przyszłości, kiedy na wybrzeżu powstanie jeden wielki port Gdynia - Gdańsk. Z obowiązku organizacyjnego nadmieniamy, że w pracach przygotowawczych przyszedł organizatorom Zjazdu z pomocą Oddział Lwowski AZM.

SEJMIK ŻEGLARSKI.

W dniu 29 kwietnia 1939 r. w sali konferencyjnej Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego i PW, w obecności Zastępcy Dyrektora PUWF p. płk. Klementowskiego odbyło się zwyczajne Walne Zgromadzenie Polskiego Związku Żeglarskiego.

Sprawozdanie z działalności Zarządu P.Z.Ż. złożył zebranym Prezes p. płk. dypl. W. Kiliński. Praca Zarządu wykonywana była w ramach poszczególnych Komisji, opracowujących zadania powierzone im przez Zarząd, bądź też wysunięte przez organizacje zrzeszone w Związku. Drugą dziedziną specjalnie troskliwie przestrzeganą była polityka żeglarska Związku, zarówno w kraju, jak i na terenie zagranicznym.

Dotychczasowa akcja Polskiego Związku Żeglarskiego, skierowana przeważnie na żeglarstwo śródlądowe, w okresie sprawozdawczym coraz bardziej przejawia zainteresowania sprawami morskimi, co znalazło swój wyraz przede wszystkim w pracach komisyj.

OBOZY AZM W JASTARNI.

Obozy Morskie 1939 roku odbędą się w Ośrodku Żeglarstwa Morskiego w Jastarni w czterech turnusach: 1. 26.V. — stwa Morskiego w Jastarni w czterech turnusach: 1. 26.VI. — 15.VII, 2. 17.VII — 5.VIII, 3. 7.VIII — 26.VIII, 4. 28.VIII — 16.IX.

Dla uczestników przewidziane są rejsy na jachtach Szkwał, Jurand, Panna Wodna, Wojewoda Pomorski i Krzysztof Arciszewski, które odwiedzą szereg portów. Koszt trzytygodniowego pobytu na obozie wynosi 65 zł, zniżki kolejowe zapewnione jak corocznie. Zgłoszenia przyjmują Oddziały AZM-u w Gdańsku, Poznaniu, Wilnie, Lwowie, Krakowie i Warszawie. Obozy będą anonsowane w poszczególnych środowiskach przez Oddziały i Zarząd Główny AZM.

Obozy kobiece odbędą się pod auspicjami p. gen. Mariusza Zaruskiego wespół z obozami harcerek, bliższe informacje zostaną podane w numerze czerwcowym.

CENA 50 groszy.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

SZKWAŁ
MIESIĘCZNIK MORSKI

NR 5 WARSZAWA, MAJ 1939 R. ROK VI

ZYGMUNT GORGOL

Na zjazd toruński

Nie mogąc z powodów odemnie niezależnych wziąść udziału w Walnym Zjeździe Delegatów LMK w Toruniu, podaję te uwagi do wiadomości wszystkich zainteresowanych.

„Liga Morska i Kolonialna na czoło swych zagadnień wysuwa obecnię wychowanie morskie młodzieży".

(z przemówienia Pana Generała Broni Kazimierza Sosnkowskiego w Gdyni 10.II.1939 r,)

Wypowiedzi władz LMK, uchwały walnych Zjazdów i Rady Głównej, zasadnicze posunięcia budżetowe i realizacja szeroko zakreślonego programu wychowania morskiego młodzieży usprawiedliwiają w zupełności wystąpienia Związku, który od szeregu lat prowadzi na wyższych uczelniach robotę ligową. Akademicki Związek Morsko - Kolonialny jest od tak dawna przedmiotem uzasadnionego zainteresowania ze strony LMK, że wstępy i przedsłowia wydają się zbędne, tym bardziej, iż wychowanie morskie młodzieży akademickiej w hierarchii omawianych zagadnień znajdzie niewątpliwie miejsce zakreślone nie tylko czasem obrad ale i ciężarem gatunkowym problemu. Dlatego ograniczając się do przedstawienia sprawy w syntetycznym skrócie, wchodzimy in medias res.

L.M.K. skupiając w swych szeregach społeczeństwo od przedszkola niemal do ostatnich lat czynnego życia obywatelskiego nie dotarła w pierwszym dziesięcioleciu swego istnienia do wyższych uczelni, nie dotarła w sposób zorganizowany, a więc jedynie skuteczny. Lukę powstałą przez wyjęcie młodzieży akademickiej spod zasięgu działalności ligowej miało wypełnić zawiązane w roku 1932 stowarzyszenia ogólnopolskie — Akademicki Związek Morski, obecnie Morsko - Kolonialny. Czy Związek spełnił nadzieje, jakie pokładali w nim jego założyciele?

Nam, stronie zainteresowanej, trudno odpowiedzieć na to pytanie z pominięciem argumentów polemicznych, znacznie łatwiej zestawić dotychczasowe osiągnięcia AZM-u.

W niespełna siedem lat Związek rozwijał konsekwetnie swoje agendy prowadząc analogicznie do programu LMK pracę żeglarską śródlądową i morską, akcję w dziale handlu morskiego i kolonialnego, oraz szeroko zakrojoną i obejmującą cały teren akademicki akcję na rzecz FOM-u pod nazwą zbiórki na ścigacz „Akademik". W omawianym okresie AZM wyszkolił około tysiąc żeglarzy morskich na corocznych obozach w Jastarni, zasilił kadrą instruktorską inne polskie organizacje żeglarskie,, zapoczątkował i poprowadził na swym terenie kolonialną i handlowo - morską pracę dokształceniową obejmującą zagadnienia ogólne, jak i wymagające specjalizacji.

Propagandowa praca AZM-u zaznaczyła się ostatnio w najbardziej udanych imprezach sięgających poza teren akademicki, że wspomnimy zbiórkę na FOM. Jeżeli od skromnych zebrań w ścisłym gronie członków sekcji, poprzez seminaria kolonialne, dochodzi się do pierwszego w Polsce Kursu Kolonialnego w Gdyni, któremu urzędujący wicepremier nie odmawia protektoratu, od pływań zatokowych dla początkujących do dalekich rejsów głośnych w prasie polskiej i obcej, od dorywczych zbiórek na FOM do ogólnopolskiej akcji zbiórki na ścigacz „Akademik" — to pracę organizacji uznać należy za pozytywną, osiągnięcia zapisać na plus.

Gdzież jest w takim razie przyczyna owych rozdźwięków i nieporozumień między AZM i LMK, jakie od pierwszych lat istnienia Związku są przedmiotem ciągłej troski władz ligowych,stałego niezadowolenia członków AZM-u? Bo nie należy ukrywać, iż mimo obustronnej dobrej woli kierowników Ligi i Zarządów AZM-u, temperatura harmonijnej współpracy to się wznosi, to opada, tarcia istnieją i opóźniają, albo wręcz uniemożliwiają tak pożądany proces unifikacji. Przyczyn istnie-

jącego stanu rzeczy jest kilka. Do najważniejszych należą, niewłaściwy pogląd na rodzaj i charakter prac AZM-u i niedostateczna znajomość warunków pracy Związku i jego możliwości.

U podstaw pracy LMK leży szeroko rozbudowana propaganda wyrażająca się, szczególnie w terenie, przewagą momentów rocznicowych nad konstruktywnymi. To, co jest dobre i pożądane w pracy starszego społeczeństwa, okazuje się trudne do przyjęcia w środowisku akademickim. Zainteresowania studenta idą w kierunku daleko posuniętej specjalizacji, to też niechęć do częstych wystąpień organizacyjnych w formie obchodów i akademii, jest uzasadniona i zrozumiała. Jakkolwiek AZM zgodnie z intencją Ligi rozbudował i utrzymał tę formę pracy, przerost jej nad pracą konstruktywną, za jaką uważamy wszelkie szkolenie, jest niepożądany i spotyka się ze słusznymi zastrzeżeniami młodzieży. Oczywiście nie mówię tu o udziale reprezentacyj w dorocznych uroczystościach bądź pomocy w ich organizowaniu. Te formy pracy nie nasuwają zastrzeżeń

Ciekawa ewolucja, jaką przeszedł i przechodzi AZM od roku 1932 do chwili obecnej, zaznaczająca się pogłębieniem zainteresowań fachowych z odsunięciem dotychczas honorowanych na plan dalszy, ewolucja od jachtu do frachtu jest bardzo znamienna. Nic nie powinno stać na przeszkodzie, by umocnić zainteresowania fachowe z ograniczeniem wystąpień uroczystościowych do niezbędnego minimum.

Ograniczenie możliwości Związku do wszelkiego „puszkarstwa", przez co rozumiemy przeróżne, choćby najbardziej zaszczytne posługi praktykowane na dłuższą metę, przynosi Lidze więcej szkód niż korzyści, odstręcza młodzież od pozytywnej i twórczej pracy o charakterze programowym. Element akademicki pragnie wnosić nowe wartości do życia zbiorowego, pragnie, co podkreślaliśmy wielokrotnie, być twórczym instrumentem nie zaś biernym narzędziem, wszędzie tam, gdzie warunki na to zezwalają i potrzeba chwili tego wymaga. Oczywiście przeszkolenie w pracy pomocniczej jest konieczne i u progu uczelni możliwe, niemniej jednak nie jest możliwe utrzymywanie dwudziestoparo letniego, myślącego człowieka w stanie infantylizmu, ponieważ planowanie pracy nie może wynikać z przejściowej zachcianki lecz z potrzeby konstruktywnego myślenia.

Niedostateczna znajomość warunków pracy Związku i jego możliwości zaciążyła fatalnie na stosunku władz LMK do AZM.

Paminięto istotny moment, iż zasadniczym obowiązkiem studenta są studia, że w interesie dobra zbiorowego leży traktowanie studiów na pierwszym planie, po to właśnie, by po ich ukończeniu móc wydajniej pracować. Warunki pracy na wyższych uczelniach ograniczają udział akademików w pracy organizacyjnej do siedmiu miesięcy, to jest od października do kwietnia włącznie. Maj i czerwiec muszą być poświęcone egzaminom, jeżeli nadmiernej liczby żelaznych studentów nie mamy policzyć na karb najpożyteczniejszych choćby stowarzyszeń.

Nie przeszkadza to pracy w okresie wakacyjnym i praca podczas wakacyj jest wykonywana. O ile zastrzeżenie co do okresu pracy dotyczy wszystkich stowarzyszeń akademickich, o tyle warunki pracy AZM-u są bardzo specjalne. Większość oddziałów Związku nie ma umożliwiającego pracę organizacyjną lokalu, dwa z nich nie mają go wcale. Dorywcze zapomogi nie rozwiązują sprawy, organizacja, której zarząd głowi się przez pół roku, gdzie ma mieszkać, pracuje jedynie kosztem wysiłków niewspółmiernych do osiągnięć. Niekończącą się od lat sprawa legalizacji winna znaleźć wreszcie swój finał. Nie będziemy wspominali szkód, jakie brak usankcjonowanej ogólnopolskiej formy działania wyrządził organizacji.

Obok dwu zalegalizowanych dotychczas ogólnopolskich stowarzyszeń akademickich winno być i trzecie. Liczymy na poparcie LMK w Ministerstwie W.R. i O.P., oczekując z pełnym zaufaniem na wyniki starań.

Przekonani, że nie ma przeszkód, których nie można przezwyciężyć, trudności nie dających się usunąć, uważamy za rzecz konieczną wyraźne określenie stosunków między LMK i AZM. Powiązanie organizacyjne na wszystkich szczeblach hierarchii wydaje się nam niezbędne, udział młodego elementu w pracy ligowej konieczny. Nie można utrzymywać dłużej tego stanu rzeczy, w którym, przy całkowitym poparciu oficjalnym, napotykamy na ciągłe trudności i zapory w dążeniu do procesu jedynie słusznego, procesu unifikacji. Jedną jest LMK, i AZM, o ile ma się rozwijać, winien mieć dostęp do wszystkich jej urządzeń i udział nie tylko w jej pracach, ale i w jej władzach. Pionerzy Związku mogą długo i z pożytkiem pracować w dziedzinie, która w latach akademickich była przedmiotem szczególnego ich zainteresowania, członkowie Związku winni w większym niż dotychczas stopniu korzystać z opieki, doświadczenia i wyrozumiałości władz LMK.

Konieczne jest, by kuratorowie Oddziałów weszli do władz okręgowych LMK wszędzie tam, gdzie jeszcze w nich nie zasiadają, by prezesi Oddziałów AZM byli członkami zarządów okręgów LMK, by w Radzie Głównej i Zarządzie głównym LMK Akademicki Związek Morsko - Kolonialny uzyskał odpowiedni udział. Ponieważ uchwała Wolnego Zjazdu Delegatów AZM z marca ubiegłego roku o przystąpieniu Związku do LMK w charakterze członka zbiorowego nie zapewniło nam przedstawicielstwa na Zjeździe, odpowiednie wnioski złożyliśmy do Zarządu Głównego LMK. Oczekujemy ich rozpatrzenia z przeświadczeniem, że praca akademików jest Lidze potrzebna i że zapewnienie tej pracy odpowiednich warunków jest pierwszą potrzebą wymagającą najrychlejszego zaspokojenia.

J. F.

Na marginesie memoriału

W ubiegłym miesiącu Zarząd Główny Akademickiego Związku Morsko - Kolonialnego R. P. wystosował do Zarządu Głównego Ligi Morskiej i Kolonialnej memoriał, w którym podkreślił między innymi konieczność troskliwej opieki nad nieliczną dziś jeszcze grupą akademików polskich, oddających się samodzielnnym studiom w zakresie nauk i umiejętności morskich oraz kolonialnych. Realizacja powyższego postulatu sprowadzi za sobą dalsze zainteresowania sprawami morza i kolonii wśród młodzieży akademickiej a także wśród młodszego pokolenia pracowników naukowych.

Zaintersowanie to nastręczy z czasem potrzebę rozwiązania problemu studiów marynistyczno - kolonialnych. — Jeśli chodzi o niektóre zespoły zagadnień, to problem studiów marynistyczno - kolonialnych mógłby być rozwiązany nawet i dziś, choćby w mierze istniejących możliwości. Wystarczy w tym celu, by kierownicy odpowiednich zakładów, pracowni i seminariów przy uniwersytetach, akademiach i innych uczelniach wyższych uwzględniali w sposób bardziej szczegółowy te wszystkie zagadnienia, których przedmiot łączy się bezpośrednio ze sprawą morza lub kolonii, mieszcząc się zarazem w programie badań naukowych odnośnego zakładu, pracowni czy też seminarium.

Możliwe też jest zalecanie przez kierowników wspomnianych ośrodków badań naukowych, by pracujący pod ich przodownictwem doktoranci, magistranci i dyplomanci brali jako tematy do swych prac doktorskich, magisterskich i dyplomowych także i te zagadnienia, których przedmiot łączy się ze sprawami morza i kolonii, a w szczególności zagadnienia polityki handlu i komunikacji morskiej, handlowego prawa morskiego, administracji żeglugi morskiej, międzynarodowego publicznego prawa morskiego i kolonialnego, historii gospodarstwa morskiego i kolonialnego, oceanografii, astronomii nautycznej, meteorologii mórz, zoologii i botaniki morskiej oraz kolonialnej, rolnictwa i hodowli tropikalnej, medycyny i higieny portowej, okrętowej oraz tropikalnej itp.

Na poparcie proponowanego tu rozwiązania problemu studiów morskich i kolonialnych możnaby nadmienić, że już w chwili obecnej spotyka się wykładowców, uwzględniających w granicach swych przedmiotów także i zagadnienia związane z morzem, wykraczając oczywiście poza ramy przepisanego programu. Exempli gratia: Docent Natalia Gąsiorowska - Grabowska (U.J.P.) prowadząc ćwiczenia z historii gospodarczej uwzględnia w szerokim stosunkowo zakresie kwestie o elementach gospodarczo - morskich; profesor Jan Namitkiewicz (U.J.P.) prowadząc seminarium z prawa handlowego i wekslowego zorganizował samorzutnie „sekcję morską", w której kilku seminarzystów poświęca się samodzielnym studiom w zakresie handlowego prawa morskiego i ubezpieczeń morskich; profesor Michał Kamieński (U.J.P.) wykłada astronomię sferyczną i praktyczną, uwzględniając przy tym szeroko astronomię żeglarską.

Streszczając więc powyższe uwagi przyjdzie się do wniosku, że organizacja studiów marynistycznych i kolonialnych w Polsce winna iść — narazie przynajmniej — raczej po linii pionowej, wgłąb, bez rozszerzania tych studiów na ogół młodzieży akademickiej, w sposób już nie tyle naukowy, teoretyczny, ile popularyzatorski, praktyczny. — Na podobnym zasadniczym stanowisku stoi w swych dezyderatach na przyszłość także i Zarząd Główny Akademickiego Związku Morsko - Kolonialnego R. P., przyjmując jednak wyjątek względem studiów handlowego prawa morskiego, które nie może być opanowane już po przygotowaniu ogólnym, propedeutycznym, a wymaga nadto wszechstronnego i szczegółowego wprowadzenia.

Handlowe prawo morskie bowiem, mimo jego pokrewieństwo z prawem handlowym t.zw. ogólnym, cechuje się licznymi szczególnościami i odrębnościami, przesądzającymi o jego samoistności jako przedmiotu wykładanego. Z drugiej znów strony, handlowe prawo morskie jest nie tylko dziedziną samą dla siebie, ale także umiejętnością podstawową dla jakichkolwiek studiów z zakresu ekonomiki morskiej. Z tych też powodów wszystkie drobne nawet kwestie tego prawa wymagają najgłębszego i najszerszego ujęcia wobec niebezpieczeństwa niedouctwa wśród studiujących. Nie wiele przy tym wnieść może zwykła egzegeza pozytywnych przepisów kodeksowych.

Uniwersyteckie studium handlowego prawa morskiego reprezentowane jest w Polsce przez prof. Józefa Sujkowskiego z Poznania i prof. Władysława Sowińskiego z Warszawy. Nie należy ono do przedmiotów faworyzowanych, co jest niewątpliwie szkodliwym uprzedzeniem sięgającym dawniejszych jeszcze czasów. Aktualne potrzeby i zainteresowania przeczą dziś temu uprzedzeniu.

Najwłaściwszym rozwiązaniem problemu studiów handlowego prawa morskiego byłoby utworzenie specjalnego Instytutu Prawa Morskiego (np. przy Uniwersytecie Józefa Piłsudskiego w Warszawie na wzór istniejącego już Instytutu Prawa Lotniczego i Zagadnień Gospodarczych Lotnictwa), gdzie handlawe prawo morskie znalazłoby najwięcej dla siebie miejsca, obok międzynarodowego publicznego prawa morskiego, prawa morskiego administracyjnego (zwanego także państwowym) itp. — Studium handlowego prawa

morskiego objęłoby wtedy nie tylko wykłady pozytywnych przepisów ale i wykłady o charakterze historycznym oraz różne ćwiczenia, polegające na interpretacji skomplikowanych nieraz dokumentów handlu morskiego, jak np. czartery i konosamenty, znane nam, ludziom z lądu, przeważnie ze słyszenia.

Przypuszczać należy, że główna trudność zorganizowania takiego Instytutu polega na braku odpowiednich zasobów pieniężnych. Jednakże i tą trudność dałoby się pokonać, jeśliby wzięło się za wzór doświadczenie, osiągnięte przy organizowaniu Instytutu Prawa Lotniczego i zagadnień Gospodarczych Lotnictwa.

JERZY FIODOROW

Morze w fotografice

Wielu jest amatorów fotografujących morze, mało fotografów oryginalnych, utrwalających życie nie codzienne, a z pewnego interesującego punktu widzenia, uważających swój temat za problem artystyczny.

Amator robiący pamiątkowe zdjęcia jest zadowolony ze swego niby arytstycznego zdjęcia, artysta uprawiający fotografikę jako taką zadowolony ze swego ideału, pozostającego w sztuce na zawsze jednak w sferze ideałów. Przeciętny inteligent wrażliwy na piękno, nie zepsuty abstrakcjonizmem szuka w dziele artystycznym czegoś z codziennej sarzyzny swego życia, a nie oderwanej nowej rzeczywistości i naprawdę jest mile zachwycony, gdy znajdzie to czego szuka, czując się współtwórcą dokonanego dzieła. A takich fotografów - marynistów nie mamy, nie tylko zresztą my. Cały świat nie może pochlubić się wielu wybranymi.

Na międzynarodowych salonach spotykamy tylko trzech artystów wielkiej skali, o zdeklarowanym stylu, przepięknie syntetyzujących morze. Są to G. L. A. Blair, F. Schensky i F. J. Mortiner. Wszyscy trzej odtwarzają morze w szerokiej rozpiętości artystycznej.



Na fiordzie krasnoludków

fot. A. Progulski

Mortimer wybija się na czoło marynistów, zajmując miejsce najlepszego marynisty świata. Nic dziwnego. Tylko syn królowej mórz mógł osiągnąć tutaj szczyt i i stworzyć tak patetyczną symfonię morza.

My mamy tak mało morza, nasza fotografika jest zbyt młoda, ażeby mogła konkurować z Mortimerem, pomimo to młode polskie talenty w zawrotnym rytmie dążą do doskonałości, starając się stworzyć nową pieśń na cześć swego morza.

W bieżącym roku pokazaliśmy na I wystawie fotografiki morskiej we Lwowie jakie posiadamy siły uprawiające fotografikę morską.

Wilno nie znalazła się na szarym końcu, w połowie kwietnia organizuje wystawę fotografiki studentów W. S. P., U. S. B. Na wystawie połową eksponatów zajęły maryny p. Haliny Łepkowskiej - Giecewicz. Z marynistką p. Haliną Łepkowską spotkaliśmy się w Warszawie na I wystawie Fotografiki Ojczystej a najtęższe jej plansze zdobią obecnie tekę zagraniczną, która zastanie wysłana w celach propagandowych do szeregu krajów europejskich i zamorskich. Halina Łepkowska - Giecewicz jest to marynistka, wyrażająca przeważnie spokojny ogrom morza. Zdjęcia jej nie budzą naprężenia, jak Mortimerowska symfonia. Jest to hymn, dostojności morza, klasycznego spokoju bezbrzeżnej dali, dający wypoczynek wszystkim organom i zmysłom, utrzymujący widza jak najdłużej w spokoju bez objawów zmęczenia, aby za chwilę obudzić z zadumania lekko, bojaźliwie ot tak po kobiecemu, białą grzywą nabiegającej fali. I morze wzbiera, gra wiatr na wantach, a melodia crescendując zwiększa się do forte, raptem zrywa się i leci hen daleko daleko w bezbrzeżną dal i znów zacisze, a widz spokojnie oddycha pełną piersią podziwiając fotogramy stworzone z ekstazy, z zachwytu, z przeżycia artystycznego.



W starym porcie

fot. H. Łepkowska-Giecewicz

MŚCISŁAW WRÓBLEWSKI
s/y „Poleszuk"

Wśród lasów i rzek Niskiej Gwinei

Szerokie, proste, zacienione wysokimi mangami ulice Conakry. Niskie, parterowe domki kolonialne, dużo ogrodów, barwny, ruchliwy targ murzyński „marché indigène", jak to nazywają Francuzi; a koło niego sklep z szyldem: „Vialla, chasseur des chaimans".

Łowca krokodyli. Napis ten zaintrygował nas odrazu: powiało od niego prawdziwą Afryką, nie taką, jaka istnieje dziś — Afryka plantatorów, domów handlowych i administracji, ale taką, o jakiej się czytało w awanturniczych powieściach w dziecinnych latach — Afryką myśliwych, wielkich przygód, walk z tubylcami.

Zaszliśmy oczywiście do sklepu odrazu: masy skór krokodylich, artystycznie pomyślane torebki, oprawy do książek, kilka wypchanych krokodyli. Dziwny zapach.

Czarni służący objaśniają nas, że właściciel tego zakładu, pan Vialla, jest obecnie na polowaniu, że nie wiadomo, kiedy przyjdzie: jutro czy za miesiąc. „A gdzie poluje?" — „Nie wiadomo".

Ciekawość naszą jeszcze podniecali znajomi, twierdząc, że ów Vialla to człowiek interesujący, że na pewnoby nas zaciekawiło zetknięcie się z nim.

„Onby Wam naopowiadał dopiero historii. O! A opowiadać to on lubi".

Żyła ta postać w mojej wyobraźni: przedstawiał mi się, jak jakiś kanadyjski myśliwy w długich butach, sięgających pachwin, w skórzanej kurtce i futrzanej czapce; nieodstępna fuzja przewieszona przez ramię, na piersiach skrzyżowane pasy od torb myśliwskich.

Był to oczywiście absurd, bo przecież wariat tak ubierałby się w upalnej Afryce, ale tak właśnie przedstawiał się mojej wyobraźni prawdziwy myśliwy, a przecież niewątpliwie takim był ów łowca krokodyli.

Zachodziłem kilkakrotnie do jego pracowni, chcąc wreszcie zestawić twór wyobraźni z żywym człowiekiem, lecz zanosiło się na to, że opuścimy Afrykę, a Vialla będzie tym tajemniczym „Panem", o którym czarni służący mówią z szacunkiem i odrobiną strachu, że poluje nie wiadomo gdzie i wróci nie wiadomo kiedy.

I nagle przedostatniego dnia naszego pobytu w Conakry konsul polski w Gwinei, pan Salkowski, mówi, zniżywszy tajemniczo głos: „Vialla przyjechał".

Idziemy do niego natychmiast.

Tak dobrze znany nam sklep. Murzyni w milczeniu wskazują nam drogę do drugiej izby. Panuje tam półmrok; na środku olbrzymia drewniana kadź, dwaj czarni płóczą w niej skóry.

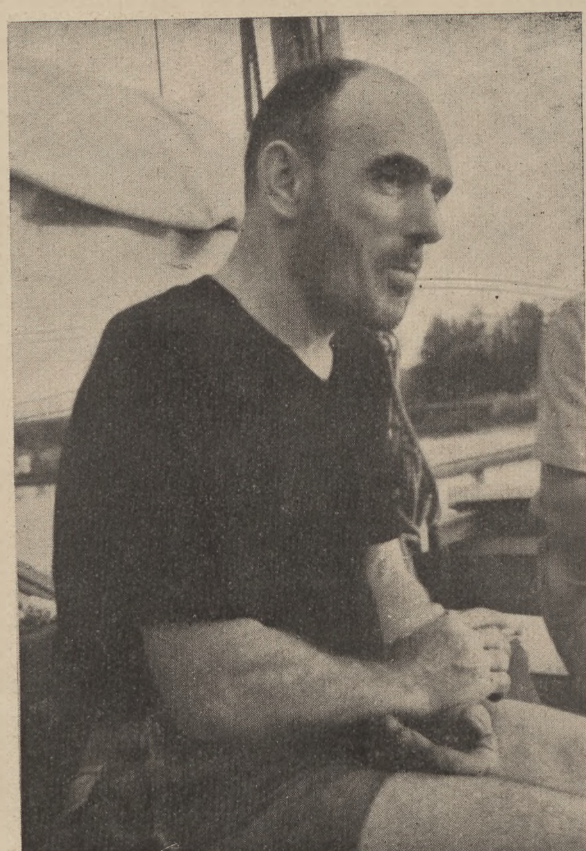
Z boku w cieniu na niskim stołku siedzi jakiś człowiek, rzucając półgłosem uwagi czy rozkazy i obserwując uważnie robotę.

Nie potrzebujemy pytać, wiemy odrazu: to on, Vialla.

Przywitanie. Nie przejmuje się zbytnio naszymi odwiedzinami: wielu musi mieć takich gości.

Jest jednak grzeczny: udziela krótkich objaśnień, dając album z fotografiami do przejrzenia. Album — to wspaniała praca Vialli: olbrzymia księga, oprawna w skórę krokodyla największego, jakiego udało się Vialli upolować. Zadziwia obmyślenie szczegółów i celowe wyzyskanie w.aściwości skóry. Najcenniejszą częścią skóry krokodyla jest t.zw. „kaj", tj. zgrubiała tarcza — łuska na karku; stanowi on wspaniałą ozdobę okładki albumu, leżąc pośrodku niej niby tarcza herbowa, podzielona na cztery pola — cztery łuski kaju.

Okładka spodnia — to skóra z ogona z dwoma pasami ogromnego grzebienia, które stanowią niby nóżki — podstawa, na której opiera się księga.



Vialla, łowca krokodyli
fot. Wróblewski

Robota piękna, oryginalna, celowa. Ja jednak bardziej obserwuję z pod oka twórcę tego pięknego przedmiotu, niż sam album.

Wrażenie istotnie niezwykłe. Bynajmniej nie doznaję rozczarowania; rzeczywistość nie ustępuje wcale marzeniu. Myśliwiec nie nosi wprawdzie długich butów, lecz lekkie przewiewne pantofle, nie poci się w skórzanym ubraniu, lecz swobodnie porusza się w lekkiej koszulce z krótkimi rękawami i w krótkich kolonialnych spodenkach do kolan (u nas takie noszą tylko harcerze — tu niemal wszyscy!), ale ma zato inne cechy niezwykłe, uderzające.

Przede wszystkim bije od tej postaci wielka siła fizyczna. Potężne, wręcz niezwykłe bary, gruby kark, ramiona i łydy jak u cyklopa. Wydaje się niski i dziwnie szeroki, jakiś kwadratowy, choć, gdy staję przy nim, widzę, że nie jest wcale niższy ode mnie.

Ale to nie niezgrabny atleta: ciało potężne, lecz jednocześnie sprężyste, ruchy energiczne, szybkie.

Z twarzy uderza stanowczość i jednocześnie coś niesympatycznego, jakaś złość czy okrucieństwo — trudno powiedzieć; w każdym razie ostra to twarz, twarz brzydka i twarda, ogromne czarne brwi, wąskie zaciśnięte usta, wielka nawpół łysa czaszka.

Objaśnienia. Bierze trzy franki od jednego centymetra szerokości skóry, zdobywa w ciągu jednej nocy 30 do 40 skór, co stanowi około 3000 franków.

O! to więc nie tylko romantyka, to przede wszystkim świetny interes. Myślimy, jak go wziąć pod włos, żeby nas zabrał ze sobą na polowanie, z góry już jednak oczekujemy odpowiedzi odmownej: nie poluje się tak odrazu z pierwszym lepszym gościem z brzegu, za wiele z nim może być kłopotu.

Tymczasem Vialla godzi się na nasze towarzystwo. odrazu i bez zastrzeżeń. Na drugi dzień powstaje projekt, aby go zabrać na miejsce polowania jachtem.

Vialli pomysł ten wydaje się doskonałym.

O ósmej wieczorem mamy go już na pokładzie z czarnym służącym i nieprawdopodobnie ciężką skrzynią, przy której ładowaniu omal nie topimy bączka u schodków, o jakie wiecznie rozbija się fala. Potem przy wyładunku z bączka na jacht znowu omal że skrzynia nie idzie na dno. Nareszcie wszystko szczęśliwie osiąga pokład „Poleszuka".

Gościowi naszemu pokazujemy jacht, przyjmujemy go kawą.

II. Rzeka — to najlepsza droga.

Odejście naznaczyliśmy na godz. 12 w nocy, aby nazajutrz rano w chwili zaczynającego się przypływu być już u ujścia rzeki Forecariah, w głąb której mieliśmy pożeglować.

Przelewamy jeszcze naftę z puszek do baków i wreszcie o 12-ej podnosimy kotwicę.

Przy lewej burcie przesuwają się zwolna światła portowe Conakry, przed nami czarna noc, idziemy na wyczucie. Na prawo zwolna mija nas jakiś cień: dobrze, to boja wytyczająca farwater wejściowy do portu wśród okolicznych płycizn. Kilka jeszcze takich cieni i... wolna droga przed nami.

Kurs wprost na ujście Forecariah. Kładziemy się spać, tylko wachtowy czuwa, oświetlony mdłym światełkiem kompasowym...

Moment przed świtem, godzina piąta; stoję na wachcie. Oczy starannie przeszukują horyzont po lewej burcie, szukając światła latarni na wysepce Matacony, która leży już niedaleko ujścia Forecariah.

Napróżno jednak wysilam wzrok: światła nie widać.

Jesteśmy coraz mocniej zaniepokojeni: coś tu musi być nie w porządku.

Za chwilę wychodzi na pokład Vialla, zagadka się wyjaśnia: „Ta latarnia właściwie nie istnieje. Latarnikiem jest czarny, to wystarczy."

Świta. Na horyzoncie zarysowuje się mdło cień wyspy Matacony. A światła latarni nie widać.



Na targu w Kindyi

fot. Wróblewski



Bab el monsour meknes

fot. Wróblewski

Do licha, jednak czuje się, że to Afryka, czyżby w Europie taka rzecz była możliwa?

Wstaje dzień. Wschód słońca zza ciężkich czerwonych oparów. Tyle już takich wschodów obserwowaliśmy, wydaje się to wszystko mocno monotonne.

Nie robi wrażenia, przytłacza jakimś ciężarem. To nie rzeźki, radosny poranek w Polsce, już z rana czuje się przytłaczający ciężar dnia.

W tej chwili powinniśmy być już u ujścia rzeki, a tu jeszcze kawał drogi. Spóźniliśmy się, to jasne. Spowoduje to opóźnienie nasze o 12 godzin bo gdzieś tam na rzece będziemy musieli czekać na nowy przypływ, inaczej nie przejdziemy łańcuchów skał zagradzających drogę. Jednak najcięższe przejście czeka nas tu u ujścia rzeki: to potężne mielizny, rzucone na kilka mil w morze. Nie ma tu boi, ani żadnych znaków, trzeba kierować się psim swędem przy ich wymijaniu.

Ciągnąc się pasem szerokim mniejwięcej na dziesięć, a miejscami na kilkadziesiąt mil wzdłuż wybrzeża „czarnego lądu", stanowią właśnie o zdradliwości żeglugi w tych miejscach. Można nie widzieć lądu, a wjechać na mieliznę; dlatego też trzeba się trzymać zdala od brzegów, a to z kolei utrudnia orientację.

Wiedzieliśmy to wszystko z opowiadań i teorii, teraz po raz pierwszy próbujemy tego w praktyce.

Staramy się dokładnie określić, w którym miejscu się znajdujemy, gdyż od tego zależy wyznaczenie dalszego kursu i minięcie mielizn, które gdzieś tam czają się przed nami. Jedynym znanym nam punktem jest wyspa Matacony. Wyznaczamy jej kierunek i na oko oceniamy odległość.

Bierzemy Ost ten Nord, kurs wprost między dwie mielizny. Wreszcie budzi się Vialla, potwierdza nasz kurs. W lewo i prawo od nas kotłuje się i pieni — to mielizny. Wciąż sondujemy — głębokości 3 do 4 metrów, idziemy więc płyciznami.

Chwilami zaczynamy kołysać się na większej fali — to wskazówka, że wjeżdżamy na jeszcze płytsze miejsca, a ta fala to daleki oddźwięk fali przyboja. To ostrzeżenie dla nas, że zmyliliśmy trochę kierunek, zbliżając się zanadto ku mieliznom.

Tak kombinując dochodzimy wreszcie do ujścia rzeki. Środek jego jest zagrodzony łańcuchem skał, możliwe do przejścia są jedynie kanały przy obu brzegach. Ja wybrałem kanał brzegu bliższy nam, Vialla jednakże każe nam przechodzić pod drugi brzeg, ponieważ tamtędy idzie główny nurt. Wskaźnikiem nurtu jest wyraźny pas zmętniałej wody, pokryty liśćmi i gałęziami, — wyraźnie widać, jak brudnymi skrętami wije się pod przeciwległy brzeg. Trzymając się wciąż tego pasa mijamy barierę skał. Trudności mamy za sobą — przed nami rozpościera się potężna rzeka, robiąca wrażenie raczej zatoki morskiej. Sondujemy: jedenaście metrów. Płytkie i niebezpieczne jest tylko ujście i morze przed ujściem, usiane mieliznami.



Lateryty fot. Wróblewski

Samo koryto rzeki, szerokie, głębokie, obfite w wodę, jest łatwe do żeglugi.

Przypominam sobie naszą Wisłę — tak chyba musiała wyglądać, gdy kraj cały był pokryty potężnymi lasami — wtedy to chyba musiała być taką potężną, obfitą w wodę rzeką.

Dzisiejsza Wisła, usiana mieliznami, niknie wprost przy tej drugorzędnej rzece afrykańskiej.

Zakręcamy w prawo. Od potężnego koryta odchodzą liczne odnogi — to poszczególne rzeki, których to koryto jest wspólnym ujściem. Wjeżdżamy w główną z nich: Forecariah. Brzegi zwężają się: widać już teraz wyraźnie, że to rzeka a nie jezioro (takie bowiem wrażenie robiło potężne ujście rzeki).

Koryto rzeczne, ujęte w zwarte ściany zieloności: to mangrowie, zwane przez Francuzów „paletuvier".

Dziwne to drzewa. Rosną na terenach bagnistych, utworzonych przez namuł rzek, zalewanych przez morskie przepływy. Pień wzniesiony nad ziemią, dźwigany przez łukowato rozchodzące się korzenie. Każdy niepozorny biały kwiatek po przekwitnięciu wypuszcza długi korzeń wprost do ziemi. Te korzenie, wyrastające gdzieś z górnych gałęzi w długie nieraz na kilkanaście metrów, tworzą całe kotary, zwisające poważnie, bardzo malownicze. Oko przenika nieco w głąb brzegów tylko przy uściach strumieni, zaznaczonych najczęściej drągami, na których rybacy wieszają sieci do łapania ryb wypływających ze strumieni. W tych miejscach oko przenika nieco w bagnistych labirynt mangrowiów. Zakątki te dziwnie niedostępne — człowiek zapadłby się tam do brzucha. Dziwnie wygląda taka masa błota. Widok to dziwnie obcy, egzotyczny.

z Cały ten kraj utworzony jest przez namuł rzek, naniesionych z góry. Ta lądotwórcza praca odbywa się nadal, o czym świadczy choćby szeroki pas mielizn przebrzeżnych.

Zresztą nie wszędzie widzimy tereny niskie, błotniste, co pewien czas zbliża się do rzeki brzeg wyższy, suchszy, pokryty roślinnością brussy, palmami, by za chwilę ustąpić znowu monotonii terenów bagnistych. Dwa razy natykamy się na wioskę. Brzeg wyższy, zwarta ściana roślinności, przerwana pasem szerokim ledwie na osiemdziesiąt do stu metrów.

Potężny serowiec, niby strażnik pilnujący wsi; nad wodą pochylają swe delikatne pióropusze palmy kokosowe; w głębi dalej od brzegu widać spiczaste dachy chat murzyńskich.

W pobliżu wiosek szerokie polany nad brzegiem rzeki, „paletuvier" są tu wycięte — sterczą jedynie



Motorówka Vialli *fot. Wróblewski*

dziwacznie powykręcane nagie ich korzenie. Pełza wśród nich dym — czarni usiłują je wypalić, by uzyskać tereny pod uprawę ryżu. Oczywiście całkowicie nie udaję się wypalić tych korzeni i sterczą oto smutnie, niby białe kości olbrzymów, a całość wygląda niby jakieś ogromne cmentarzysko. Między pniami rżysko po zeszłorocznym ryżu czerwonym. Ryż uprawia się tu tylko w porze deszczowej, choć przecież łatwo możnaby i w porze suchej zaprowadzić irygację pól. Na to już jednak tubylcy zdobyć się nie potrafią... a ryż trzeba sprowadzić z Indochin, ponieważ miejscowego nie wystarczy na potrzeby kraju.

Na ryżowiskach szałasy z trawy, ustawione na wysokich polach — tutaj przebywają stróże ryżowiska, pilnujący, by nie zakradli się doń złodzieje. Koło wioski Berika zaczynają się kamienie. Jesteśmy już spóźnieni; woda zaczyna opadać — musimy iść wbrew prądowi i nie po najwyższym stanie wody, gdyż wszystkie porohy są pokryte.

Na szczęście Vialla zna rzekę pierwszorzędnie — polował już tu dwa razy, a pamięć ma nadzwyczajną; pamięta każdy zakręt, pokazuje miejsca, w których upolował większe krokodyle, i co teraz dla nas najważniejsze, zna doskonale położenie kamieni podwodnych. Stoję obok niego na dziobie statku, by zapamiętać możliwie najdokładniej rozkład kamieni, bo wracać już będziemy bez niczyjej pomocy.

Z początku jeszcze jako tako odtwarzam sobie obraz mijanych przeszkód lecz po godzinie takiej jazdy gubię się w chaosie. Vialla tłumaczy mi, że przecież te kamienie widać doskonale, — niestety ja ich dostrzec nie potrafię.

Jakiś wyjątkowy ostry zakręt — to koniec porohów.

Oddycham głębiej — odniosłem wrażenie ze słów Vialli i z jego kierowania statkiem, że cała rzeka zasypana jest kamieniami, tylko trzeba między nimi zręcznie lawirować.

Za chwilę wynurzają się na lewym brzegu jakieś budynki — Forecariah.

„Już Forecariah", wyrywa mi się mimowoli.

„Powinniśmy tu być od sześciu godzin", mówi złym głosem Vialla. Blask zachodzącego słońca. Rzucamy kotwicę o 30 m. od brzegu przed budynkiem firmy Paterson. Sondujemy: dwa metry dwadzieścia, a woda dopiero niedawno zaczęła opadać. Sondujemy więc z bączka ku brzegowi. Głębokość ta sama, ku środkowi rzeki dno nagle się podnosi. Najlepiej więc będzie zostać na miejscu, nie doznamy uszkodzenia nawet jeśli trochę siądziemy na piasku przy najniższej wodzie.

Po Viallę przyjeżdża motorówka. Za chwilę ma wrócić, by zabrać nas na polowanie. Na pierwszą noc idę ja z Henochem, bowiem motorówka może zabrać najwyżej dwóch nadprogramowych pasażerów.

c. d. n.

Inż. FRANCISZEK CHRZANOWSKI

Organizacja rybołóstwa we Francji

Pomyślny rozwój rybołóstwa gwarantuje w znacznej mierze jego wzorowa organizacja, a rękojmię powodzenia daje Sprawne działanie jego najdrobniejszych komórek, sharmonizowanych i skoordynowanych z całością. W tym rozumieniu autor niniejszego artykułu zaznajamiając czytelników z organizacją ryborństwa francuskiego, pragnie przedstawić, jak Francja, której rybactwo, obok angielskiego, norweskiego i niemieckiego uchodzi za najlepiej zorganizowane, problem ten rozwiązała.



Rybacy

Nad rybactwem we Francji czuwają dwa departamenty przy Ministerstwie Marynarki Handlowej: Omówimy departament rybacki. Rozpada się on na cztery wydziały, z których wydział prawny reguluje ustawodawstwo rybackie w kraju i przygotowuje konwencje międzynarodowe, zarządza policją nadbrzeżną, czuwa nad zdrowotnością rybaków. Opiekę związkom ubezpieczeniowym, kasom pożyczkowym i transportowym zapewnia wydział gospodarczy, z kolei wydział handlowy prowadzi kalkulację rybacką, wydział osobowy poza sprawami personalnymi czuwa nad Inscription maritine, instytucją społeczno - wojskowa zrzeszająca przymusowo wszystkich rybaków i żeglarzy zawodowych.

Należy dodać, że każdy statek poruszający się w obrębie francuskich wód przybrzeżnych, w zatoce, porcie lub kanale, przepływie i rzece musi być prowadzony przez zawodowych rybaków Francuzów, przy czym załoga składa się przynajmniej z trzech czwartych z obywateli francuskich.

Zrzeszeni w tej instytucji służą obowiązkowo w marynarce wojennej w stopniu piastowanym w marynarce handlowej. Korzystają oni z ubezpieczeń inwalidzkich i z kas chorych, otrzymują przy tym bez trudu monopol połowów i inne korzyści takie ścisłe i swoiste formy zrzeszenia wszystkich rybaków i ludzi uprawiających zawodowo jazdę morską mamy poza Francją tylko w Italii i w Hiszpanii.

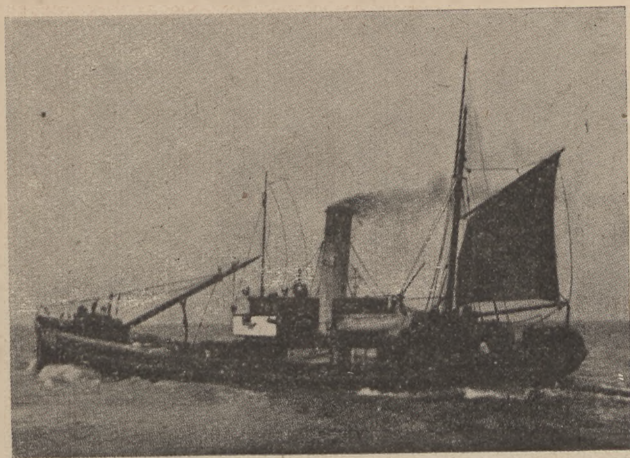
Pomoc materialna dla rybactwa jest przedmiotem głębokiej troski państwa, które rozbudowało i utrzymuje szereg instytucji. tu należą związki ubezpieczeniowe, kasy pożyczkowe, towarzystwa handlowe i inne. Powstanie Związków Ubezpieczeniowych datuje się od 1901 roku. Zakładane przez właścicieli statków rybackich i narzędzi połowu dążą do zapewnienia bezpieczeństwa mienia i zredukowania niszczycielskiego działania żywiołu morskiego. Zarząd związku sprawuje kilkuosobowa rada w której skład wchodzi z urzędu przedstawiciel Inscription maritine. Rada, wyjąwszy przedstawiciela władz, pracuje honorowo. Operując kapitałem obiegowym i gromadząc rezerwy, związki ubezpieczeń doszły w roku 1932 do liczby 72 ubezpieczając 4285 członków na 100 milionów franków. Szacowania wartości ubezpieczonych statków i narzędzi dokonywał miejscowy komisarz.

Kasy pożyczkowe, powstałe w roku 1913 mają za zadanie umożliwiać jednostkom przedsiębiorczym wykonywanie zawodu drogą udzielania pożyczek na budowę statku lub zakup narzędzi połowu. Należą do nich rybacy czterech kategorii, a więc utrzymujący się wyłącznie z rybactwa, inwalidzi będący właścicielami statku, koncesjonariusze oraz rodziny wymienionych. Pożyczki są nisko - lub bezprocentowe, krótkoterminowe. Kasy okręgowe zasila państwo subwencjami do 3,5 milionów franków rocznie. Warunkiem sprawnego funkcjonowania Kas pożyczkowych są regularne spłaty zobowiązań gwarantowane ubezpieczeniami.

Obecnie rozróżnia się we Francji szereg sposobów ubezpieczeń na spłatę pożyczki np. przez zabezpieczenie na hipotece statku, porękę kontaktu we właściwej kasie ubezpieczeniowej, zabezpieczenie spłaty w towarzystwie ubezpieczeń na życie itp.

Rybackie towarzystwa handlowe występują w formie spółek, syndykatów i związków. Kapitał obrotowy powiększają nieraz przez pożyczki w okręgowych Kasach pożyczkowych o wysokości nie przekraczającej potrójnie dla długoterminowych, pięciokrotnie dla krótkoterminowych własnego kapitału zakładowego. Ścisłą kontrolę państwową nad działalnością omówionych towarzystw sprawuje Ministerstwo Marynarki Handlowej. Rada kontrolna składa się z senatorów, deputowanych, delegatów Rady Ministrów, przedstawicieli państwowych, resortów gospodarczych i Obwodowych Kas pożyczkowych.

Ponieważ w skromnych ramach artykułu trudno jest szerzej omówić francuskie związki zawodowe, cechy i korporacje rybackie, ograniczymy się do najważniejszych. Założony w roku 1884 centralny związek właścicieli okrętów zrzesza wszystkich właścicieli — Francuzów. Związek posiada dziesięć oddziałów, z których pierwszy, oddział rybactwa morskiego dzieli się na rybołóstwo wielkie i małe, ten ostatni na grupy rybactwa śledziowego i makrelowego. Siedzibą związku jest Paryż, celem obrona interesów zrzeszonych i reprezentacja. Analogiczne założenie posiada istniejący od 1905 roku centralny związek hodowców ostryg, oraz powstały w roku 1933 cetralny związek fabrykantów konserw. Związek ten powstał drogą zrzeszenia poszczególnych związków prowincjonalnych w Nantes, Bordeaux, Boulogne i innych. Broniąc interesów fabrykantów konserw rybnych, handlarzy - hurtowników, rybaków, blacharzy, reprezentuje ważną gałąź życia rybackiego we Francji.



Statek rybacki

Szkolnictwo i propaganda rybacka są dostosowane do potrzeb regionalnych. Licznie rozrzucone na wybrzeżu średnie szkoły rybackie zapewniają teoretyczne wiadomości niezbędne do wykonywania zawodu i przymusową, ściśle kontrolowaną praktykę w towarzystwach handlowych, przemysłowych i hodowlanych. Szkoły rybackie zaprawiają swych wychowanków w umiejętnościach żeglarskich, niezbędnych dla sprawnego wykonywania zawodu. Jakkolwiek szkolnictwo rybackie znajduje się w rękach prywatnych, państwo otacza je opieką i nadzoruje jego osiągnięcia. Najbardziej znane szkoły znajdują się w Baulogne, Dieppe, Tecamp, Cancale, Lorient i Groix. Wyższe studia rybackie to teren pracy Instytutu Rybactwa Morskiego — Office scientifique et technique des Pèches Maritimes. Przydzielony do Ministerstwa Marynarki Handlowej, jest Instytut niezależny od niego pod względem finansowym. Środki pieniężne, niezbędne dla prowadzenia badań i doświadczeń będących jego podstawowym programem, otrzymuje od właścicieli statków rybackich, przedsiębiorstw handlowych, fabrykantów Konserw i loterii państwowej.

W radzie Instytutu zasiada dziewięciu naukowców wybranych spośród członków akademii nauk, pozostałych pięciu, to przedstawiciele opodatkowanych na cele Instytutu. Państwo uczestniczy w radzie przez siedmiu komisarzy, dwu z Ministerstwa Marynarki Handlowej, pozostali z minister: wychowania, marynarki wojennej, finansów, spraw zagranicznych i kolonii. Wybrany przez radę i zatwierdzony przez władze państwowe dyrektor mianuje personel naukowy, gospodarczy i finansowy.

Siedzibą Instytutu jest Paryż, gdzie poza dyrekcją mieszczą się trzy laboratoria. Cztery pozostałe rozrzucone są nad morzem, w Boulogne, Lorient, da Rochelle i Biarritz. Laboratoria paryskie prowadzą studia nad produktami rybołóstwa, jak mączka rybia, tran, konserwy, siecio i linoznastwem, mnożeniem ryb i techniką budowy chłodni, oraz studia biologiczne nad ostrygami. Laboratoria prowincjonalne opracowują: Boulogne — makrele, śledzie, sardynki złowione w Morzu Północnym i w kanale La Manche, La Rochelle i Lorient — tuniczyki i morlesze Atlantyku, Biarritz — szproty i sardynki zatoki Biskajskiej. W roku 1923 powierzono Instytutowi wykonywanie kontroli zdrowotnej w hodowli ostryg, w dziesięć lat później wyposażono Instytut w specjalnie skonstruowany statek doświadczalny „Theodore Tissier".

Ostatnie zagadnienie wymagające omówienia, to propaganda ryb. Statystyka roku 1933 ocenia roczne spożycie ryb we Francji na 275 milionów kg a więc ca 7 kg na głowę. Spożycie to jest bardzo nierównomierne. Dochodząc np. Nantes do 25 kg na głowę, spada w Lyon do 2 kg. Te ogromne różnice w zapotrzebowaniu ryb zmusiły tak czynniki miarodajne jak i zainteresowanych rybaków do poszukiwania dróg i sposobów, które zmniejszyłyby korzystanie tę wielką amplitudę wahań. Propaganda, zapoczątkowana przez towarzystwa rybackie organizuje na dużą skalę państwo w trzech podkomisjach Ministerstwa Marynarki Handlowej. Zadaniem podkomisji jest zwiększenie zbytu ryb.

Pogadanki, odczyty, prasa, bibliografia rybacka, książki kucharskie, periodyki, (np. „Boulogne Marée") plakaty, obniżka kosztów transportu i studia nad kalkulacją zbytu oto środki będące na usługach propagandy.
Praca podkomisji wydała wprost niezwykłe rezultaty. I tak w obrębie podkomisji w Boulogne spożycie ryb wzrosło między rokiem 1930 a 1933 o 16 milionów kg (z 60 do 76 milionów). Dane liczbowe dowodzą jak niesłychanie doniosłe znaczenie posiada propaganda dla rozwoju rybactwa i jak bardzo zwiększa możliwości jego zbytu.

Reasumując wszystko co było powiedziane, należy zaznaczyć, że dane artykułu nie wyczerpują nawet w części tego tak treściwego zagadnienia, jakim jest organizacja rybołóstwa we Francji. Celem tych informacji, jest zwrócenie uwagi młodej awangardy morskiej na rybactwo, w którym tak wiele mamy do zrobienia.



Sport żeglarski

JERZY DANIELEWICZ

* * *



Rozdzwoniła się „osiemnastka"
— łódź żeglugi wśród mglistych mielizn,
boi świetlno-ryczących, miasta
Scyll i Charybd wrzącej topieli.

Odbijamy w reis barką Danta!
(może dziką „tratwą Meduzy"?)
Rozkołysał się głów Atlantyk,
łka na sieciach złowiony muzyk.

Śpiewaj ze mną Ty Panno Wodna —
miejskie węże, oczy ośmiornic,
złoto - łuski dzwoniące u dna,
gardła gmachów w symfonii sztormów.

I tę tratwę — ten upiór głębin,
dzwon na alarm serc konduktorów,
rozedrgany splot co się kłębi
jak u Goi szaleństwa poród!

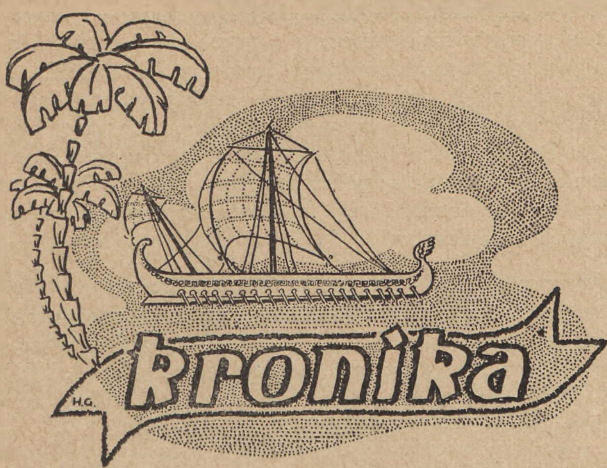


„Argonauci — blade herosy
żeglujące czerwoną trumną,
elektryczny prąd — waszych wioseł
nie zaniesie po złote runo!

Niechaj pilot ze źrenic ciska
w czarne ciało śmierć — ostrzem dzidy,
wąż Medei na uroczyskach
Was wygląda Dzieci z Kolchidy".

Gdzie wędrówki cel, czemu velbot
łuną płynie — nie wiem Dziewczyno,
jesteśmy jak pieśń, którą Gerbault
pod gwiazd śpiewał mleczną lawiną.

Zresztą — gdziebądź nas rzuci skowyt
i gdziekolwiek na lampach z kolumn
zakotwiczy — my na „Świat Nowy"
z dek tramwaju zejdźmy jak Kolumb!



W klechdach greckich można ich doliczyć się piętnastu znanych z imienia i nazwiska, z wodzem Jazonem na mostku kapitańskim. Było ich jednak więcej w chwili, gdy Crejron wstępował na skałę najbliższą modląc się, aby zdrowi i cali powrócili do domu.

Odkotwiczenie opóźniło się nieco gdyż Jazon musiał wstąpić jeszcze do Tracji po niejakiego Orfeusza — księcia pieśniarzy, aby chwała i złote runo, po które ruszali, nie uszły przyszłym wiekom niepostrzeżenie. Zapobiegliwy to był kapitan!

Wreszcie „Argo", statek — ni to jol — ni to kecz, ot łajba na pięćdziesiąt wioseł, o kruchym maszcie, z żaglem przypominającym podciągnięte rolety, — wreszcie ów „Argo" mówię — ruszył błogosławioną chwiejbą wód, kursem na Kolchidę, Harpie, Syreny, Medeę i inne kobiety bliżej nieokreślonej konduity.

Jak później żeglowali, jak to się stało, że z Azowskiej sadzawki wpłynęli na Bałtyk, by trącić bukszprytem mglistą Brytanię i Cyrce nawiedzić na Azorach, — jest to tajemnica ich, trochę Orfeusza, trochę współczesnych locji i map, no a trochę żeglarskiej sztuki tych prekursorów reymanów spod Azetemowej bandery. Podobieństw jest więcej i one właśnie synkopami szarpnęły moją niegodną harfę firmy Parker, by szła za melodią Orfeusza.

Pięćdziesięciu na „Argo" — zbieranina odpowiedzialna; — tylko malarza zabrakło! Wiadomo, że już po kilku dniach byli sami instruktorzy — stąd te awarie i Medea na pokładzie. A później? — Później: „Ja pójdę" wołali jeden przez drugiego. — „Nie, ja" — „i ja także". Idas wpadł we wściekły gniew, gdyż zawsze chciał być pierwszy". — Idasów było wielu, jedno złote runo i tu trzeba oddać sprawiedliwość, — jedna Medea. Jakoś się udało! Złote runo zwędzili nie tyle psim swędem co wdziękami uwodzicielki i pieśnią młodzieńca.

Niesłusznie oskarżalibyście kronikarza, że ciemne opowieści rozwodzi. Zważcie tylko, że bojował przez dni dwa, aby tylko pieśń dalej po łamach Szkwału rozsnuwać, — a zbójców było wielu i sama Rada Naczelna mocniejsza w gębie niż w dostarczaniu artykułów.

Zresztą dam Wam kod i sylabizujcie na dwa języki odrazu. Rada Naczelna z bojową załogą żeglarzy — wiadomo! Jazon — znany. Orfeusz — słyszany. Idasów — jest zawsze wielu. Tylko to „złote runo" olśni Was niespodzianką. Akademicki Związek Morsko - Kolonialny R.P. dzięki osobistej troskliwości Czcigodnego Protektora Ligi i naszego Opiekuna P. gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego dostaje własny ośrodek nad morzem. Otóż macie! — Nie — wypożyczany, dzierżawiony, wypraszany i wymawiany, ale swój! Zrozumiano? Pojęto? Dość! Spocznij — wziąć się na dzisiejsze lato w garść — a przyszłe już od nas zależy.

Jeszcze słów parę o Argonautach i o tym co z tego wynika. Otóż jest rzeczą pewną, że mowni nie są słowni, a pisać zgoła czy w drelichu — nie umieją. Sąd ten oparty na doświadczeniach dwóch zjazdów i jednej klechdy greckiej, poświadczy chętnie każdy zaawansowany żeglarz, który daremnie wypatruje wiadomości w swoim „Szkwale". Zwracam uwagę na zaimek dzierżawczy „swój". Ważny zaimek! Który ze sterników lub kapitanów pojmie wreszcie własność „Szkwału", pożytek jego i urok drukowania wiedzy nabytej z pięknego doświadczenia? Przecież żaden Orfeusz nie będzie gędził i ględził o żeglarskim rzemiośle, aby się na pośmiewisko wystawiać. Panowie Instruktorzy — orfeuszowe pienia, które Wam uszy skrobią — tylko w perspektywie wieków uchodzą krytyce fachowców.

Jak z tego co bystrzejsi czytelnicy wnioskują, na terenie Związku odbyło się „wielkie pranie". Słusznie. W dniach 29 i 30 kwietnia zjechali się przedstawiciele wszystkich oddziałów, no i mieli coś nie coś do powiedzenia, rzadziej do wysłuchania.

Z rzadka uchwyciło się ciekawsze nowości. Oddział poznański naprzykład — umiejętnie pochodził dokoła miarodajnych czynników, aż wymierzyli mu wcale grzeczny kawałek ziemi pod nową, własną przystań na Kiekrzu. Posesjonaci! Zhardzieją pewnie i do Jastarni z grzeczności tylko zaglądać będą.

Nie mniej doniosły sukces osiągnął bezdomny Kraków. Tułał się po ulicach i po audytoriach, pracować nie mógł, aż co czynniejsi musieli praktyki okrętowe na Batorym lub Polonii przyjąć, aby zupełnie od morza i A.Z.M-u nie odwyknąć. Wreszcie skoro ci ruchliwi wrócili i świeżym okiem spojrzeli na gród rodzimy, odrazu znaleźli to czego im brakło. Poprostu zakwaterowali się w Ratuszu, na Rynku, żeby było w centrum i zewsząd blisko. Podobno mają rauty urządzać. Na inaugurację podejmą najmłodszego genera-



lissimusa pewnego ościennego państwa, który najpewniej nie odmówi. Stąd korzyść na przyszłość, bo nie wyrzucą już Azetemowca z Kłaj... to jest z Połągi.

We Lwowie bez zmian; to znaczy cały poemat superlatywów i serca. Ot jeszcze trochę żeglarskich wiadomości do „Szkwału" wówczas i to serce chętnieby im wybaczył.

Wilno, każe poprawiać się stale, a samo nie chce... nie chce nadsyłać powiadomień na czas. Otóż nie tyle ile kronikarz się „domyślał", lecz 770 złotych zebrali na ścigacz „Akademik", a poza tym „Szkwał" jest za drogi, ceterum censeant, że żeglarstwo jest pięknym sportem.

Warszawa ta najbliższa, nie wiele własnego wkładu wniosła. Pewnym jest jedynie, że stołeczny Oddział sumiennie przeczytał artykuł o krzewie dostarczającym kwiatu i liści do naparzania ogólnie rozpowszechnionego napoju i że wyżej wymieniony artykuł (nie krzew ani Oddział) kolidował z poczuciem poziomym i pionowym tegoż Oddziału. Zaczym lekce sobie ważą wszelkie dalsze enuncjacje omawianego organu.

Inaczej stawiał problemy Gdańsk, nauczony prędzej rozwikływać przemyślne a delikatne supły lin od babskich węzłów. Nie w zwyczajnych warunkach chowani Gdańszczanie, oswoiwszy się jakoś z gadatliwą wolnością, upraszczali zagadnienia nawet tak subtelnych buchalterów jakimi są Lwowianie.

Najpłynniej zrobiło się w czasie obozowych rozważań. Otwarte upusty ust zaszumiały spienioną mownością. „Zda się, że Syreny śpiewały słodko srebrnymi głosikami, a wszystko co żyje, zdążało ku nim, by nasłuchiwać. Na brzeg wypełzły wielkie foki i wygrzewając się na słońcu, kiwały w takt gnuśnymi głowami. Słuchali tedy i bohaterowie; wiosła wypadły im z rąk, głowy skłoniły się na piersi i mrużyły ociężałe powieki... i wydał im się dotychczasowy mozół czczym szaleństwem".

Na szczęście ów Jazon o głosie Orfeusza krzepko dzierżąc harfę, biegłą dłonią targnął strunami aż odśpiewało się morze. — „Argonauci" — nawoływał melodią — „czyż nie widzicie ziemi własnej, która z utęsknieniem garnie się ku Wam? Załogo mężna do wioseł! czas wyraju już bliski. Azaliż nie jest lepiej aniżeli było; — będzie wspaniale! Wyremontowane jachty z początkiem sezonu kołyszą się na wodzie. Dzięki trosce i zabiegom Argosa Gruszeckiego odnowiona flota zyskała pełnomorskie wartości. Na stoczni kończą „essperymenty", a świat wielkim głosem woła o naszych instruktorów".

„Argonauci! Silni, Zwarci, Gotowi pojmując tężyznę narodu Ikarów na skrzydła użyczmy im pięciuset talentów, a żeby przytym nie pominąć bliskiego nam Posejdona, na ścigacz imienia naszego przekażmy te sumę". — Tak odwiódł Jazon załogę od syren i natchnął ją wiarą mocną! Zapobiegliwy to był kapitan!

O zmierzchu zapruszonym prześwietlonymi liśćmi, podążała załoga aleją lip ku stronie ślącej miłe zapachy z pobliskiego baru. Orfeusz grał na mandolinie:

„Wyjdź mi załogo na pokład Argo
spod brzęku struny i drgających rzęs.
Bywajcie! czujni wołającym wargom
o Argonauci ze zwycięstw i z klęsk!
O hej! Żeglarze! — wyniosło nas Argo
z odmętów, mielizn i lejów bez dna.
Chwyć wiosła! — łukiem napiętych bark, skargą
zgrzytliwych dulek do portu nas gna
trud wspólny mięśniom — jedność serc i rąk!
O hej na Argo! Hej na kursie ląd!
O hej na Argo! O hej który wytrwał
i spłynie młody skroś przestrzeń i czas?
Żeglarze — dusze zaklęte w rybitwach,
załoga Argo nawołuję Was!!"

J. D.



Na porannej zbiórce

fot. Kraśkiewicz

A nad Śródziemnym morzem ciągnie szkwał

Morze Śródziemne — ta kolebka cywilizacji łacińskiej, teren odwiecznych walk o hegemonię, basen krzyżujących się szlaków handlowych i linii strategicznych oporu, marszczy się szkwałem historycznych wydarzeń...

Walka o strefy życiowe, o punkty strateczne, o dostęp do surowców kolonialnych, zaczyna przybierać ostre formy, horyzont dymi kominami flot wojennych, porty rozbrzmiewają szczękiem umocnień wyposażenia bojowego. Stare Mare Internum pieni się historią...

Na wybrzeżu morza Śródziemnego niewątpliwie znajduje się szereg punktów zapalnych, z których może powstać pożoga światowa. Tanger — miasto na dynamicie drzemiące, śródziemnomorski Gdańsk, do którego zarówno Francja jak i Hiszpania zgłaszają pretensje — to wróg pokoju nr. 1. Gibraltar —twierdza niezdobyta, Tunis francuski, Suez i surowcodajne Dardanele...

Dążenia osi do przecięcia morza na linii Sycylia — Tunis, roszczenia kolonialne głodnych Niemiec i Włoch, manopolizujących pustynie tego świata, akcje towarzystwa Kanału Sueskiego, możliwość hiszpańskiej dywersji na tyłach francuskich, wszystko to sprzyja powstaniu układu sił wymagającego niewątpliwie wielkiej umiejętności manewrowania politycznego. Przyjrzyjmy się układowi tych sił, stwierdzając na wstępie że: państwa osi obejmujące morze Śródziemne kleszczami półwyspu iberyjskiego i apenińskiego posiadają floty w ilości około 1.115 tys. tonn, Anglia i Francja rzucają na szalę 2,670 tys. tonn.

Akcja Francji obejmuje zachód — Anglia wschód morza Śródziemnego. W środku Włochy z zamkniętym Adriatykiem usiłujące przeciąć morze od Sycylii do Tunisu francuskiego. Stara Grecja niepokojona i od strony morza i od lądu, sprzymierzona z Anglią i „zagwarantowana" przez nie, i wreszcie wrota, wiodące do sowieckich surowców, — sprzymierzone z demokracjami — tureckie Dardanele, stanowią fundament układu sił. I Seuz — ten newralgiczny punkt świata. Walka o tanią drogę do kolonii, walka o punkt strategiczny, strefa ścierających się wpływów i dążeń wszystkich niemal imperiów kolonialnych. Mussolini celem osiągnięcia tej taniej drogi do cesarstwa Abisynii żąda akcji tow. Kanału, co pozwoliłoby mu zrobić pierwszy krok do opanowania Egiptu i uniezależnienia się od Anglii.

Ale nie tylko wyżej wymienione dążenia mężów stanu osi powodują zaognienia w basenie morza Śródziemnego. Istotą tego zjawiska historycznego jest dążenie do kolonii. Przy tym: nie chodzi o dzikie puszcze, w które podobnie jak w Abisynii trzeba włożyć miliardy inwestowanego kapitału. Chodzi o już zagospodarowane obszary, o takie tereny, gdzie od lat istnieją ośrodka produkcji, gdzie istnieją szanse rozwojowe dla głodnych lub przeludnionych państw. Państwa osi mające zaludnienie 135 dla Niemiec i 136 osób dla Włoch, mające świetny przemysł i przeinwestowane rolnictwo, dążą do zdobycia tanich i własnych źródeł surowca, co pozwoliłoby im zatrudnić masy pracujące obecnie w przemyśle wojennym. Wyrazem tych dążeń była aneksja Abisynii i nieprzerwana akcja Niemiec.

Trzecia Rzesza nie przebierając, jak zwykle, w środkach, określa swoje rzekome Lebensraum tam gdzie jest jej wygodnie i jakoś dziwnie tam wszędzie, gdzie akcja jej jest zaprzeczeniem sprawiedliwości dziejowej, o której wciąż mówi Kanclerz Hitler. Nie należy przypuszczać, że nieporozumienia niemiecko - brazylijskie wypływały z dywersji Latynów amerykańskich w Niemczech, — natomiast pewnym jest, że... „przyjaźne rozmowy obu państw prowadzone w atmosforze zaufania i wzajemnego zrozumienia" doprowadziły do wymiany not. Z układu wynika, że zderzenie na morzu rzu Śródziemnym doprowadziłaby do pewnej klęski obu fuhrerów, przy czym Niemcy poraz drugi dążą do rozegrania ryzykownej wojny na... terenie obcym. Rozumie to Mussolini, który też obecnie jest raczej zwolennikiem pokoju, gdy Hitler prze do wojny.

Wojna o kolonie nie jest czymś nowym w historii. Ostatnie trzy stulecia były świadkami imperialistycznej akcji wojennej i gospodarczej starego świata. Na takich to tradycjach oparta Europa drży u podstaw swojej cywilizacji, pieni się wulkanem akcji i kontrakcji, zaskoczeniem, szumi falami wydarzeń, jak szumiały wiosła galer rzymskich w drodze do Kartago, czy żagle Konkwistadorów. Manewry floty niemieckiej u wybrzeży Hiszpanii, ćwiczenia armady francuskiej w Tangerze, więc koncentracja floty włoskiej, umocnienie Suezu — więc wielka parada gen. Franco, zdarzenia i kontr zdarzenia, depesze i propaganda, flota pod parą, linie Magi nota i Sigfrida — Zbrojny Pokój.

I sprawdzą się stare, rzymskie: si vis pacem...

Że w Angorze von Papen, że wizyta ministra, że generała, że sojusz, polityka okrążania — Polska od Bałtyku odepchnąć się nie da.

Słoneczne Mediteraene szumi, a rybak ciągnie sieci w morskiej toni... Cisza — słychać jak przez nią historia płynie... Czym to jest dla nas? — Podwaliną nowej epoki — epoki Polskich zdobywców.

Historia przeznacza pokolenia do ściśle sprecyzowanych zadań. Jednym każe burzyć, innym budować — nam każe Rozbudować — Maszerować.

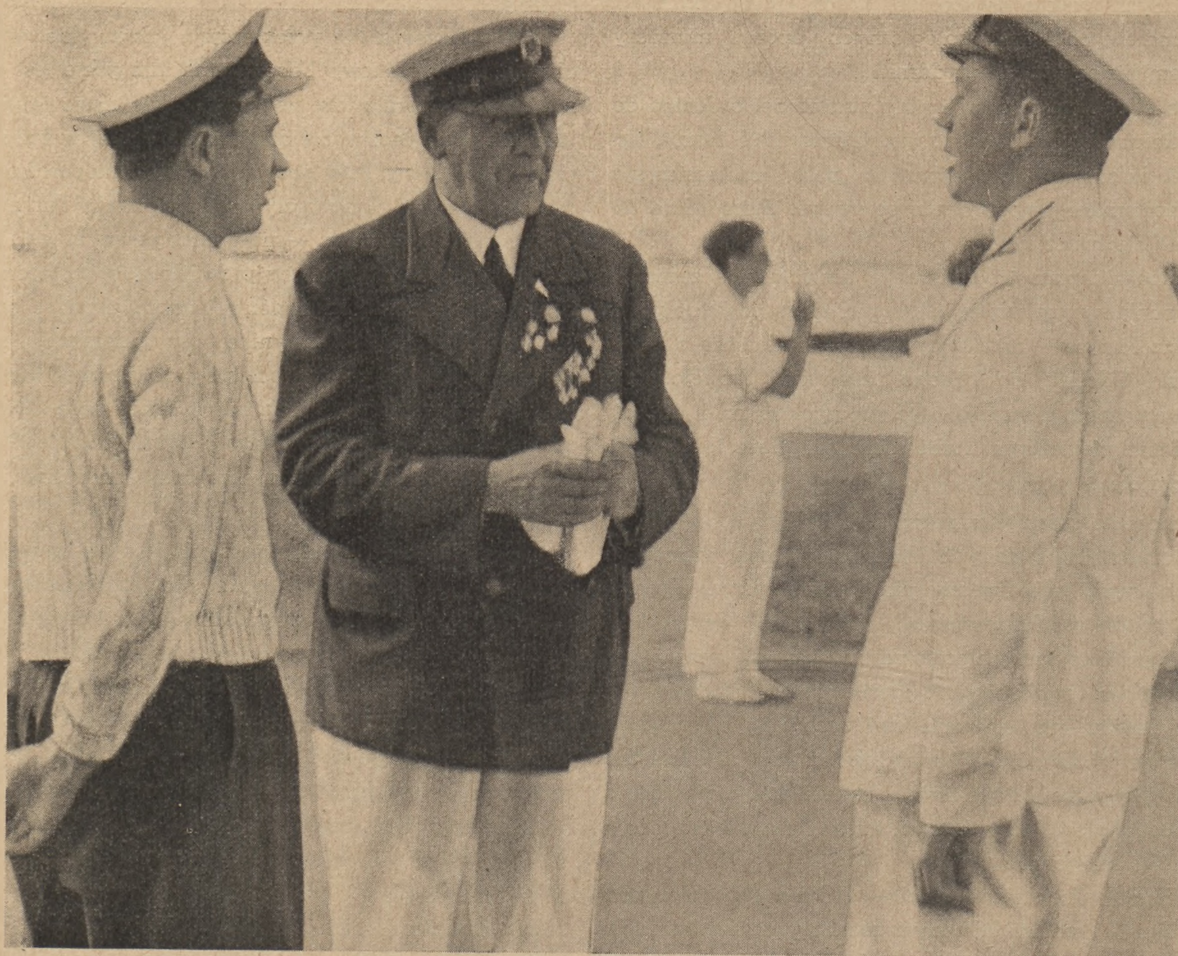
Gdy Cheops budował piramidy, kamienie przygniatały fellachów. Powstał gmach, który oparł się zębom czasu i 40 wieków mogła patrzeć na armię Napoleona... Czym był fellach wobec tego działa cywilizacji Egiptu? — Istnieją rzeczy tak wielkiej miary, że w cieniu ich wielkości giną pokolenia fellachów, jak ginie ziarno piasku w falach morza...

Wezuwiusza roztopione lawy dymią, dymią kominy Essen, zakładów Erensot, jest C.O.P., nie ma Czechosłowacji... Albania przestaje istnieć... Adriatyk stał się morzem zamkniętym.

Mapy zmieniają się, oś obraca się coraz szybciej, a nad Śródziemnym morzem ciągnie szkwał...

O. M.

Pamiętajcie o obozach!



Generał Kwaśniewski na obozie zeszłorocznym A. Z. M.

Wydawnictwa nadesłane

m a r i n a. Revista de la Liga Naval Argentina — Director Teniente de navio Jorge Luis Lenani. San Martin 680 U.T. 31 — 4860 Buenos Aires. Morzo de 19. ANO III N-o 32. Stron 58. Obfite w treść, pięknie wydane ilustrowane pismo argentyńskie.

M o r z e i K o l o n i e. Miesięcznik. Organ Ligi Morskiej i Kolonialnej Nr. 5. Warszawa, maj 1939. Rok I (XVI). Cena zł. 1.20 stron 32.

Ż e g l a r z. Miesięcznik. Nr. 3. Warszawa, kwiecień 1939, stron 20. Cena 35 gr.

P o l s k a n a m o r z u. Pismo Ligi Morskiej i Kolonialnej dla młodzieży. Nr. 5 Warszawa, kwiecień 1939. Stron 16. Cena 20 gr. Wydanie A.

P o l s k a n a m o r z u. Nr. 5 Wydanie B.

P o l a c y z a g r a n i c ą. Organ Światowego Związku Polaków z zagranicy. Miesięcznik. Nr. 5. Warszawa, maj 1939. Stron 56. Cena 70 gr.

Z a c z y n. Tygodnik. Nr. 10 (120) Warszawa 11 maja 1939. Rok IV. Stron 8. Cena 30 groszy.

P o d c h o r ą ż y. Organ szkół podchorążych i legii akademickich. Tygodnik. Nr. 16 (160), Warszawa 12 maja 1939. Rok VIII. Stron 12.

Redaktor: ZYGMUNT GORGOL Wydawca: AKADEMICKI ZWIĄZEK MORSKO-KOLONIALNY R. P.

Sekretariat redakcji przyjmuje: poniedziałki, środy, piątki od godz. 19 — 21. Tel. 5.33-87.
Wydział propagandy i ogłoszeń: Warszawa Al. Jerozolimskie Nr. 26 m. 24 tel. 3-50-54.
Prenumerata: rocznie 5 zł., kwartalnie 1.30. Konto P. K. O. 3.305

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Widok 10. A. Z. M. Redakcja rękopisów nie zwraca

Druk. „Społeczna", Warszawa, Pl. Grzybowski 3/5, tel. 205-80.

Prasa morska i kolonialna

ANGLIA POMOŻE POLSCE W ROZWIĄZANIU KWESTII ŻYDOWSKIEJ.

Podczas ostatnich konferencyj londyńskich ministra spraw zagranicznych Józefa Becka omawiana była także sprawa żydowska w Polsce. Angielskie Foreign Office komunikuje, że minister Beck wyraził życzenie, aby wszelkie wysiłki międzynarodowe, dotyczące zagadnienia żydowskiego, rozciągnięte zostały także na Żydów w Polsce. Minister zwrócił jednocześnie uwagę na podobne zagadnienie, istniejące w Rumunii. — Nawiązując do tego komunikatu, korespondent dyplomatyczny „Sunday Times" wymienia cyfrę 50 tysięcy emigrantów żydowskich, którzy w wyniku rokowań polsko - brytyjskich mogliby emigrować rocznie z Polski do różnych obszarów imperium brytyjskiego.

W tej chwili nie można jeszcze przesądzić, w jaki sposób będzie spełniona angielska obietnica otwarcia dominiów dla emigracji żydowskiej z Polski. Znaczenie tego problemu przytłumiają obecnie alarmy wojenne. Po uspokojeniu narodów przyjdzie też czas na rewizję poglądów w kwestii zagadnień emigracyjnych, surowcowych i handlowych. — Pierwszy krok w tym kierunku zrobiła Polska wysuwając w Londynie między innymi kwestię surowców i trapiącą nas bolączkę przeludnienia żydowskiego.

Kwestią żydowską należy zająć się spokojnie, rzeczowo, bez zoologicznej nienawiści. W ten sposób tylko może być rozwiązana sprawa populacyjna na odcinku żydowskim. — Autor przypomina, że już przed dziesięciu laty wskazywano na łamach „Wychodźcy" na liczne tereny (Gujana, San Domingo, Kanada, Australia, Południowa Afryka), które mogłyby dać pracę i chleb nie tylko wszystkim Żydom z Polski, ale wszystkim nędzarzom z miast i bezrolnym chłopom całej Europy. Jednakże państwa posiadające zamknęły szczelnie granice swych kolonii przed swobodną emigracją głodnych ludzi z Europy.

Żydzi, podobnie jak i inne ludy, stworzyliby na nietkniętych jeszcze przestrzeniach nowe środowiska rolnictwa, handlu i przemysłu. Za przykład można tu wziąć Palestynę, gdzie praca młodych żydowskich rolników zadaje kłam twierdzeniu, że Żyd zdolny jest tylko do handlu, rzemiosła czy też do zajęć intelektualnych.

Kończąc, autor stwierdza, że Żydzi muszą wyjść z ghetta polskich miast i miasteczek na szeroki świat za przykładem naszych chłopów. „Muszą zamienić łokcie do mierzenia perkalu na czepigi pługa w kanadyjskich stepach". (St. **Gąsiorowski** — „Wychodźca" 7/1939, s. 1. nn.).

BOGUSŁAW DOMANIEWSKI LAUREATEM NAGRODY im. SZARECKIEGO.

Nagrodę im. Jerzego Szareckiego przyznano w roku bieżącym B. Domaniewskiemu za książkę pt. „Za własnym żaglem".

PRZEŁADUNEK PORTOWY W ŚWIETLE ORZECZNICTWA URZĘDU MORSKIEGO.

Nawiązując do swego artykułu p.t. „Przeładunek portowy w świetle obowiązującego ustawodawstwa", ogłoszonego w Wiadomościach Portu Gdyńskiego z lipca 1937 r., autor notuje w tym względzie dalsze orzeczenia Urzędu Morskiego.

Obrót portowy obejmuje wszystkie te czynniki, które przyczyniają się do zmiany środka komunikacyjnego w obrębie portu z lądowego na wodny, wzgl. odwrotnie, lub z wodnego na lądowy. — Urząd Morski zaznacza w swym orzeczeniu, że przeładunek towarów pochodzenia krajowego, magazynowanych chwilowo na terenie portu, a przeznaczonych dla konsumpcji kraju, nie jest dokonywany w obrocie portowym. Autor uważa to rozstrzygnięcie za słuszne. — Omawiając zaś sprawę przeładunku przetworów, pochodzących z zakładów przemysłowych położonych w obrębie portu, rozróżnia następujące możliwości: — Przeładunek surowca ze statku do zakładu przemysłowego dokonany jest niewątpliwie w obrocie portowym. Odwrotnie zaś, ładowanie surowca z urządzeń lądowych do zakładu przemysłowego, nie jest dokonane w obrocie portowym. Chyba, że do eksportu nie jest przeznaczony surowiec, a rzecz już przerobiona. Ocena zaś, czy przez przerobienie powstała rzecz nowa, należy każdorazowo do Urzędu Morskiego, tak jak w procesie cywilnym do sędziego.

Zdaniem U. M. nie będą czynnościami przeładunku portowego wszelkie czynności przygotowawcze do właściwego przeładunku portowego, jak np. przy przeładunku ziemniaków wewnątrz magazynu lub poza jego obrębem — czynności ważenia, suszenia, sortowania, a wreszcie montowanie i bandażowanie skrzyń.

Jeśli wreszcie chodzi o przeładunek towarów tzw. shipchandlerskich tj. towarów służących do zaopatrywania statków, to w zasadzie podpada on pod pojęcie przeładunku portowego. (Zygmunt **Stefanowicz** — „Wiadomości Portowe", 3/1939, s. 5 n.).

WYPRAWA Z GÓR KSIĘŻYCOWYCH.

Prof. E. Loth, kierownik wyprawy naukowej do Ugandy wrócił do kraju. Wyprawa osiągnęła najwyższy szczyt gór Księżycowych — Margerita i przywiozła 2 t. bagażu naukowego, m. in. 250 czasek murzyńskich dla badań antropologicznych, sto kilkadziesiąt gatunków mchów i inne zbiory etnograficzne.

Czesław **Czarnowski:** „Podróże Jurandem do Skandynawii". Wydawnictwo Stanisława Turskiego. Wilno 1939 r. Str. 168 (duża 8-ka). Przedmowę napisał Gen. Mariusz Zaruski.

Dr Czesław Czarnowski, znany żeglarz - sportowiec, snuje w swej książce wspomnienia z wypraw jachtowych do Skandynawii w roku 1932 i 1933. Zastrzega się przy tym, że publikacja przeżeń opracowana nie pretenduje bynajmniej do miana wartości literackiej, a ma na celu podanie do wiadomości ogółu ciekawych podróży morskich. — Przyjmując powyższe oświadczenie autora można bez żadnej przesady odważyć się na spostrzeżenie, że wartość jego książki mieści się właśnie w jej „nieliterackości". i to zwłaszcza wobec polskiej literatury marynistycznej ostatnich czasów, której większość przedstawicieli da się podciągnąć bez reszty pod pochodzące od gen. Zaruskiego określenie „marynarza atramentowych wód".

Opis podróży morskich dra Czarnowskiego i towarzyszy przypomina raczej prowadzony dziennik okrętowy aniżeli pseudopoetyczne i banalne refleksje jednostki, znane nam aż nadto z różnych, renomowanych nieraz, książeczek i wierszyków. Na 168 stronach „Podróży Jurandem" autor ani razu nie mówi o sobie z pominięciem reszty załogi. Wszystko ciekawe, wszystko co nosi znamię przygody, kojarzy on z całym statkiem, unikając w tym uwypuklenia swej roli jako kapitana.

Stąd też człowiek lądu czyta z całkowitym zaufaniem barwne opisy podróży do portów Szwecji i Norwegii a żeglarz znajduje wiele poważnego materiału poglądowego dla dalszego bogacenia swych umiejętności.

Na szczególne podkreślenie zasługuje także graficzna wartość wydawnictwa.

J. F.

KONKURSY KOLONIALNE PATRZ NUMERY MARCOWY I KWIETNIOWY „SZKWAŁU"

CENY OGŁOSZEŃ „SZKWAŁU":

1 strona 600.— zł, 1/2 strony 350.— zł, 1/4 strony 200.— zł, 1/8 strony 100— zł.

Ogłoszenia w tekście o 25 procent drożej. Układ tabelaryczny 50% drożej